

Piotr Zaremba uhonorowany medalem „Gloria Artis”

5 października, w siedzibie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Piotr Zaremba, wybitny publicysta i historyk, odebrał z rąk wiceminister kultury prof. Magdaleny Gawin srebrny medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Laudację na cześć nagrodzonego wygłosił Wojciech Stanisławski. Oto jej treść:

Starzy bolszewicy – a formacja ta jest godna uwagi przynajmniej ze względu na dwie cechy, mianowicie skuteczność oraz sentymentalizm, z jakim potrafiła snuć legendy na swój temat – otóż starzy bolszewicy mieli w zwyczaju (przynajmniej do roku 1937) wchodząc na mównicę, przywoływać czyny i więzy z odległej przeszłości. Jako człowiek zajmujący się trochę historią Rosji, wiem mniej więcej, jak to wyglądało: „Pamiętam, jak towarzysz... przyjmował mnie, młodego chłopaka, do partii w marcu roku 1912, w zakładach putiłowskich, chociaż wkoło roило się od carskich szpiclów”.

Piotr Zaremba nie przyjmował mnie do żadnej partii, nawet legitymację podziemnego NZS otrzymałem jeszcze z innych rąk. Ale kiedy znalazłem się na Wydziale Historycznym UW może nie w środku nocy jaruzelskiej, lecz w ciemnoszarym przedświcie drugiej połowy lat 80., był tam obecny, chociaż kończył już studia: można było go spotkać na strajku, u św. Stanisława Kostki, można było odeń dostać książkę z podziemnego kolportażu.

Bibliografia druków zwartych,
rozproszonych i akcydentalnych
Piotra Zaremby w katalogu
głównym Biblioteki Narodowej
liczy obecnie 918 pozycji i z
pewnością jeszcze wzrośnie

Wspominam o tym nie
dla bolszewickiej
chwały, lecz dlatego,
że historyka zawsze
ciekawi początek: ten
moment, kiedy
skorupka nasiąka,
a bohatera można
zlokalizować

w jednym miejscu, zanim gorączkowa aktywność pchnie go we wszystkie możliwe strony: do kolejnych redakcji, od „Życia Warszawy”, przez „Nowe Państwo” i „Newsweek” (tak, tak..), po „wSieci”, wciąż dalej i dalej, na katedrę nauczyciela historii, do Biura Bezpieczeństwa Narodowego i na przegląd teatrów szkolnych w Inowrocławiu. Ten początek to dla Piotra lata 80., jednoznaczne – jeśli chodzi o kompromitację komunizmu i jego odrzucenie przez 20-latków; niejednoznaczne – jeśli chodzi o pomysły na urządzenie wolnej Polski.

A przecież wspomniane przeze mnie redakcje i inne zatrudnienia to dopiero początek wyliczanki, w której trzeba umieścić teksty, rozmowy, felietony, książki; wiele książek. To, by tak rzec, koncert na wielu instrumentach. Bibliografia druków zwartych, rozproszonych i akcydentalnych Piotra Zaremby w katalogu głównym BN – bibliografia w oczywisty sposób niepełna, skoro nie uwzględnia blogów ani publikacji na portalu wPolityce i innych – liczy (podaję stan z godz. 9.00 dnia 5 października) – 918 pozycji: do najbliższego poniedziałku ta liczba pewnie wzrośnie. W Bibliotece Kongresu jest trochę gorzej – liczę na inicjatywy nowojorskiego Instytutu Polskiego w tej kwestii! – ale znalazły się tam wszystkie najważniejsze książki

Piotra, od „Młodopolaków”, czyli historii RMP napisanej przed blisko dwudziestu laty, po „Zgliszcza”, w których cieniu przez cały czas trochę żyjemy.

I – to trochę prowokacyjne pytanie – jak można sobie poradzić z taką obfitością w kilkuminutowej laudacji? Nie ma sensu nużyć zebranych encyklopedyczną notą, chociaż byłaby ona powodem do dumy (do encyklopedii trafiają najlepsi): ja wolę się zastanowić, jakie w tym gąszczu tekstów, w tym dorobku przekładającym się już teraz na zawartość solidnego regału bibliotecznego znaleźć wspólne wątki: struny łączące całość. Znajduję trzy: mam nadzieję, że ktoś z państwa dopowie kolejne.

Pierwsza z nich: uporczywe, cierpliwe, mistrzowskie jak operacja prowadzona przez neurochirurga dociekanie drobnych, ukrytych sensów i uzasadnień, rozplątywanie nieraz bardzo zasupłanego zmuta różnych racji i przesłanek, którymi kierują się różni aktorzy dramatu. To cecha, która przenika cały dorobek Piotra: pisząc kiedyś kilka słów o „Zgliszczach”, półzartem zauważyłem, że ważną inspiracją dla Piotra Zaremby musiały być „Dzieje polityczne Stanów Zjednoczonych” niejakiego Piotra Zaremby.

Bo rzeczywiście tak jest: historię Stanów, której kolejne tomy otrzymujemy od autora co dwa lata, można czytać, by dowiedzieć się więcej o tym, co kształtowało największą potęgę XX wieku, o konkretnych posunięciach Calvina Coolidge’a i Theodore’a Roosevelta. Ale można też czytać je trochę tak, jak się czyta „Wojnę peloponeską”, nawet jeśli ktoś jest nieszczególnie ciekaw szczegółów zmagania między Atenami a Spartą: czytać po to, żeby zrozumieć instrumentarium najbardziej może skomplikowanej rzeczy, jaką zdołali wynaleźć ludzie, czyli polityki. Umieć odmalować racje stanów, miast, klas, środowisk, bagaż prywatnych doświadczeń, jaki determinuje każdego

z aktorów sceny publicznej, dodać do tego susze, huragany, czarną pianę gazet, a wreszcie włos przypadku, tę „chrząstkę ucha ledwie draśniętą pociskiem” – i pokazać, jak wszystkie te elementy pasują do siebie niczym w jakimś gigantycznym klawesynie, jak dopasowują się, by zagrać tę, a nie inną nutę – tak, to jest sztuka. Piotr Zaremba potrafi opisać w ten sposób – a opisałby, wytłumaczyć – mechanizmy kierujące senatem USA przed stu laty, Młodopolakami z RMP przed czterdziestu oraz rządzącymi i rządzonymi dziś. Ta zdolność do wyszukiwania nieskończenie drobnych (Eco powiedziałby „infinityzermalnych”) przesłanek nie wszystkim się podoba; złośliwe języki, których w Warszawie nie brakuje, swego czasu ochrzciły ją nawet mianem „zarembizmu”. Ale ja chciałbym więcej tego zarembizmu nie tylko u Zaremby (jeśli naturalnie Piotr zgodzi się udzielić franczyzy): myślę, że ta umiejętność dostrzegania wszelkich okoliczności łagodzących, lecz i wszelkich niejasności, powinna charakteryzować sędziów: takich, jakich chcielibyśmy mieć.

Druga z tych cech to uważność, z jaką Piotr słyszy „głosy biednych ludzi”. I tak, chociaż często pisze o pierwszoplanowych aktorach polityki, ludziach z definicji potężnych, wpływowych i zazwyczaj pewnych siebie, twierdę, że tę jego uważność można dostrzec w pracach należących do każdego z ordynków, od powieściopisarskiego po kronikarski. Niemal wszyscy, którzy pisali o „Zgliszczach”, wyróżniali jako jedną z największych zalet tej książki jej polifonię. To powieść, która udziela głosu mieszkańcom Ryków i Pragi, Borejszy i Bermanowi, ubekom i akowcom, Mikołajczykowi i jego rywalom. Każdy z nich ma swoją opowieść i każdy mówi swoim rwącym się głosem, swoim narzeczem.

Ale przecież również bohaterowie „Romansu licealnego” nie pochodzą z pierwszych stron gazet, lecz krążą po ulicach peryferyjnej dzielnicy; aktorzy i reżyserzy prowincjonalnych teatrów szkolnych i studenckich, na których

przedstawienia Piotr Zaremba jeździ busami i pociągami czasem cztery godziny, czasem siedem, nie pojawiają się, i pewnie nigdy nie pojawią, jako bohaterowie newsów na Pudelku; i gdyby się podjąć karkołomnego zadania, jakim byłoby zestawienie statystyczne wszystkich bohaterów „Dziejów politycznych Stanów Zjednoczonych”, to okazałoby się, że na szczęście z okładem (tytuł naliczyłem w indeksie) znamy może trzydziestu, może czterdziestu. Reszta – prowincjonalny sędzia, nieudany kandydat do senatu, sufrażystka – wykonali, kiedyś, jeden znaczący gest: i to wystarczyło, żeby historyk ich zapamiętał. Jest trochę tak, jakby Piotr wybierał na swoich bohaterów tych, którzy chcą być tylko pośrednikami wolności; „trzymać sznur ucieczki / przemycać gryps / dawać znak”.

Wreszcie cecha trzecia, najtrudniejsza do zdefiniowania; może najważniejsza. Wyróżniająca pisanie Piotra w czasach – powiedziałbym – rozkręconych na maksimum potencjometrów; orkiestr, które potrafią grać już tylko fortissimo; w których już nie tylko tytuły, lecz całe teksty są składane kwadratem. To zjawisko nie oszczędza nikogo: nigdy jeszcze okładki nie były tak krzykliwe, nigdy werdyktów nie wydawano już w leadzie, opatrując je (dla pewności) dopiskiem „Skandal!” albo „Żenujące”. Jest tak, jakby naszymi mediami rządzili – proszę pozwolić na jawny cytat z Herberta:

autorzy płócien podzielonych na prawą stronę i lewą stronę
który znają tylko dwa kolory
kolor tak i kolor nie
wynalazcy prostych symbolów
otwartych dłoni i zaciśniętych pięści
śpiewu i płaczu
ptaków i pocisków
uśmiechów i szczyrzenia zębów

I w tym zgiełku, w tej kakofonii, idzie Piotr, którego – proszę pozwolić
na drugi jawny cytat z Herberta – można sobie wyobrazić, jak mówi:

za cały instrument
mam drewniany patyk
uderzam w deskę
a ona mi odpowiada
tak – tak
nie – nie
Bardzo dziękuję za tę kołatkę, Piotrze.

Wojciech Stanisławski

Fot. Jacek Łagowski